Nr. 11. Rok II.

We Lwowie 10. Marca 1883.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY

wychodzi od 1. października 1882 co sobotę w objętości półtora arkusza w okładce.

Przedpłata na **„ZIARNO“** wynosi:
W miejscu rocznie: **12 zł.** — na prowincji: **13 zł.**
„ kwartalnie: **3 „** — „ **3 „ 25 ct.**

prenumeratorowie kwartalni otrzymają pierwszy kwartał „Ziarna“ za połowę ceny.

Dla ułatwienia zaprowadzamy prenumeratę miesięczną w kwocie **1 zł. 10 ct.** w miejscu, a **1 zł. 15 ct.** na prowincji.

Na okładce każdego numeru umieszczamy INSERATY po 5 ct. od wiersza petytem.

Prenumeratę tak miejscową, jak z prowincji przyjmuje:

Administracja „ZIARNA“ w drukarni „Dziennika Polskiego“ we Lwowie ul. Halicka l. 46.,
tudzież wszystkie księgarnie.

☛ PP. Autorowie i nakładcy, którzy sobie życzą mieć ocenę swych dzieł w „ZIARNIE,“ raczą nadesłać redakcji egzemplarze wydanych książek.

☛ Administracja **„ZIARNA“** uprasza pp. Abonentów, którzy zalegają dotychczas z bieżącą przedpłatą **o rychłe jej odnowienie**, by można ostatecznie uregulować wysokość nakładu. Ktokolwiek z Szan. Czytelników nie zamierza prenumerować „Ziarna“ od 1. bm. nadal — upraszamy, aby go można wykreślić wcześnie z księgi prenumeratorów, o łaskawe i jak najszybsze **zwrócenie otrzymanych numerów.**

Nr. 11. We Lwowie dnia 10. Marca 1883. Rok II.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Wydawca: **Bolesław Spausta** Redaktor odpowiedz.: **Bolesław Czerwieński.**

Prenumerata na „Ziarno“
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości 1½ arkusza. Adres redakcji i administracji „Drukarnia Dziennika Polskiego“ Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem.

Zasada powagi*).

Dwa prądy ścierają się bezustannie w rozwoju dziejowym ludzkości: powaga i wolność, tradycja i postęp. Wziąwszy pod uwagę niezbyt długi okres dziejów, zdaje nam się prawie, jakoby te dwa prądy ważyły się nawzajem, jakoby raz tradycja raz wolność górę trzymała, słowem, jakoby postępu stanowczego nie było, a ludzkość stała na miejscu. Skoro zaś zmierzymy okiem dłuższy okres dziejowy, a tem bardziej całą przestrzeń wiadomą, którą ludzkość dotąd przebiegła, wnet wśród zygzaków pochodu dziejowego odkryje się nam teren, krok za krokiem zdobywany przez ducha postępu w walce z powagą, — i otucha w nas wstępuje.

Dość porównać stan cywilizacji europejskiej w wiekach średnich z dzisiejszym jej stanem, i przypomnąć sobie główne etapy rozwoju społecznego w tym całym okresie, aby się przekonać o prawdzie powyższego zdania.

Gruby pomrok niewoli i ciemnoty z trudnością tylko i zwolna ustępował wobec działania takich czynników, jak wynalazek Gutenberga, jak odkrycie Ameryki, reformacja, wielka epoka odrodzenia, odkrycia naukowe Koperników, Newtonów i Galileuszów. Żadne jednak z tych wydarzeń dziejowych nie przeszło bez pozostawienia zbawiennych następstw, a następstwa te sumując się sprawiły, że ludzkość w swym pochodzie postępowym coraz bardziej przyspieszała kroku. W ostatnim wreszcie stuleciu działanie idei postępowych i reakcja autorytar na tak często się luzują, że ten proces przypływu i odpływu wolności coraz bardziej staje się podobnym do drgania wahadła, z tą jednak różnicą, że okresy reakcyjne stają się coraz krótsze, okresy zaś wolnościowe coraz dłuższe i silniejsze. Największą zaś zdobyczą nowszych czasów jest to, że ludzkość, która dawniej zdobywała sobie wolności prawie bezwiednie, wśród obrony własnej, dziś w swej walce o wolność coraz bardziej się uświadamia, a to głównie dlatego, że coraz lepiej poznaje wroga wszelkiej wolności. Wrogiem tym jest *zasada powagi* czyli autorytetu.

Zasada powagi jest zasadą, mocą której życie pojedynczego człowieka i życie ludów opiera się na poszanowania tradycji. Powaga jest potęgą, i działa jako potęga przez samo istnienie swoje, a nie przez żadne powody rozumne. Jej środkami działania są: przymus i bojaźń. Ona opiera się na dobrowolnem lub przymusowem poddawaniu się umysłów pod jarzmo istniejących stosunków.

Zasada powagi może być zastosowaną w kościele i państwie, w społeczeństwie i w rodzinie, a nawet w zakresie poznania ludzkiego jako zasada poznania i pewności.

W okresie poprzedzającym rewolucję francuską, rewolucję, która stała się matką wszystkich swobód, wszystkich zdobyczy postępowych, któremi się dziś szczycimy, rewolucję, której dziećmi chcąc niechcąc wszyscy jesteśmy — w okresie owym zasada powagi objawiała się we wszystkich zakresach powyżej wskazanych.

Rewolucja wybuchem swoim nie we wszystkich odrazu zakresach życia duchowego obaliła tę zasadę: rugowała ją krok za krokiem, stopniowo. Okazało się zaś wówczas, że istnienie jej we wszystkich zresztą sferach życiowych, zawisłem jest od istnienia jej w sferze, która uważaną bywa za najwyższą, t. j. w kościele. Kościół bowiem jako powaga, udzielał swojej powagi wszystkim innym działom życia społecznego (np. królestwu z „bożej łaski“, małżeństwu pojętemu jako sakrament i t. d.) Powagą kościoła stała i wraz z nią runęła zasada powagi u wszystkiah powag drugorzędnych. Jak tylko powaga kościoła była podkopaną, wnet w upadku swoim pociągnęła za sobą i inne powagi.

Gdy po burzy rewolucyjnej nastąpiła reakcja, obrońcy autorytetu, a raczej ich rozbitki, wnet zaczęli odbudowywać zwalony gmach powagi, i znowuż zaczęli stawiać go w tym punkcie, w którym nim naprzód wstrząśnięto, — zaczęli od powagi religijnej.

Cała epoka restauracji we Francji przedstawia nam obraz dążności do odbudowa-

*) Szkic niniejszy oparliśmy przeważnie na znakomitym wywodzie walki autorytetu z wolnoścłą w epoce restauracyjnej, zawartym w trzecim tomie Brandes'a „Haupströmmungen der Litteratur des 19. Jahrhundertes.“

ia zasady autorytetu: naprzód w kościele, potem w państwie i w rodzinie, w społeczeństwie i w nauce. Szermierze tacy jak Bonald, i de Maistre (Józef), Chateaubriand i Laumenais, stają do walki z filozofią 18. wieku, z filozofją, która obwieściła wolność badania i krytyki, i przeciwstawiła tę wolność powadze i tradycji.

De Maistre zwalczając teorje Jana Jakóba Rousseau staje wyraźnie w obronie powagi, i uczy że „jest to zarozumiałością wobec Boga nie mieć zaufania do rzeczy nie przewidzianych“, i że „każdy rząd ustanowiony przez prawo, jest uzurpacja powagi prawodawcy boskiego“. Bonald zaś stara się wykazać, że społeczeństwo opiera się na stosunku ojcostwa i zawisłości, władza zaś spoczywa u Boga samego, i przez niego bywa udzielaną. Laumenais wreszcie w swojej epoce reakcyjnej twierdzi, że „prawdziwą religią jest ta, która spoczywa na jak *największej powadze widomej*“.

W jednem zdaniu Bonalda streszcza się cały pogląd obrońców powagi i tradycji. „Bóg — mówi ten autor — jest nieograniczoną *władzą* nad całą ludzkością, głowa państwa jest *władzą* nad wszystkimi poddanymi, głowa rodziny jest *władzą* w domu. Ponieważ wszelka władza stworzoną jest według obrazu Boga, zatem wszelka władza jest absolutną“. W tych słowach Bonalda zawiera się ostatnia konsekwencja zasady powagi. Zasada ta przedstawia nam się jako zasada *zaparcia się własnej istoty*, w przeciwstawieniu do zasady indywidualnego poczucia i osobistego badania. Jestto owa wielka zasada *teokracji*, samowładzy Boga w przeciwstawieniu do władztwa ludu; zasada *autorytetu i siły* w przeciwstawieniu do zasad wolności, praw człowieczych i solidarności obowiązków.

Działanie tej idei odbija się wszędzie. W państwie widzimy, jak pod jej wpływem w miejscu zasady prawa powstaje zasada siły, którą nazywają władzą boską, wywodząc z niej królestwo z bożej łaski. W społeczeństwie ruguje ona ideę braterstwa, i na jej miejsce stawia stosunek patrjarchalny nawpół tyrański, a w miejsce równości stawia zasadę zawisłości. W dziedzinie moralnej znosi ona prawo wewnętrzne, wskazuje na sobory i bulle. Religię określai ona nie jako wiarę, lecz jako przymus, jako „kajdany polityczne“ wedle wyrażenia mężów rewolucji. Podnosi z naciskiem nierozerwalność umowy w małżeństwie i w pastwie. Uczy, że człowiek otrzymał mowę wprost od Boga, i w ten sposób niszczy w zarodku wszelką filologię, stawiając nad jej trupem wielką piramidę teologiczną. Uniemożebnia wszelką naukę poznania, gdyż wstrzymuje badanie ciągłem wskazywaniem na jak największą widomą powagę. Zatruwa młode pokolenie, oddając wychowanie jego w ręce — jezuitów.

Porządek i harmonia! Oto hasła obrońców zasady powagi. Tak jest, porządek i harmonia! Lecz świat musi się nauczyć i nauczy się wreszcie, chociażby na to i kilku wieków potrzeba, że porządek i harmonia są dziełem dowolnego prawodawstwa lub kodeksu karnego i opinii publicznej, opierających się na tradycji i powadze. Niemasz rozumnego urządzenia społeczeństwa, jak to, które się opiera na naukowem rozpoznaniu organizmu ludzkiego. Wszelkie społeczności tak rodziny, jak państwa, nie istnieją same dla siebie, lecz dla osobników, istnieją na to, aby te osobniki osiągnąć mogły pewne wielkie cele i dobra. Celami takiemi są: czystość obyczajów, wychowanie dzieci, obrona kobiet. Gdyby więc te cele nie dały się osiągnąć inną drogą, jak tylko tą, którą wskazuje zasada powagi, to wolność w tych działach życia społecznego musiałaby być uważaną za przekleństwo. Skoro zaś cele te inną drogą, być może nawet *lepiej* inną drogą dadzą się osiągnąć, — a trudno zaprzeczyć tej możliwości, skoro nareszcie tradycyjną drogą wcale prawie nie zostały osiągnięte, wtedy koniecznem jest wolne badanie bez żadnych względów i bez najmniejszej obawy przed jakimkolwiek autorytetem.

„Ja — mówi Brandes — z mej strony konstatuję tylko to, że zasada powagi jako zasada, która zagradza drogę wszelkiej dyskusji, jest najgorszą, najgłupszą, najbardziej poniżającą ze wszystkich, i że ona sama siebie potępiła. Ktokolwiek przez to, że wyszydza lub zabrania wolnej dyskusji na jakiemkolwiek polu społecznem, staje się powodem, że jedna lub druga a chociażby tylko jedna szczególna — hipoteza użyteczna dla ludzi, nie śmie się ukazać na światło dzienne, lub nie może być badaną i porównywaną z rzeczywistością, staje się zbrodniarzem, dla którego najostrzejsza kara nie będzie za ostrą“... *L. I.*

„Illegitimi Thori“.

Szkic powieściowy

przez

J. Estwoyna.

(Ciąg dalszy).

Zamilkła, przy jasnem świetle księżyca Jędruś ujrzał łzy w czarnych oczach towarzyszki, i rzeczywiście żal mu się jej zrobiło. Wziął jej rękę, podniósł do ust, pocałował, i rzekł z nieudanem zakłopotaniem:

— Doprawdy... zawstydzasz mnie pani, darząc szczególniejszemi względami, których dotychczas nie zasłużyłem sobie, a z drugiej strony ogromnie znów przeceniając wartość mojej przyjaźni... Mój Boże, tysiące ludzi spotkać można co krok, którzy niechybnie godniejsi są sympatji kobiety tak poczciwej i rozumnej, jak pani panno Karolino...

— Nie przeczę, że miałam i mam szczęście do ludzi ... ale wyznam otwarcie, że człowieka panu podobnego nie spotkałam jeszcze... Chyba w końcu przypuszczać zacznę, dodała z uśmiechem zalotnym, trzymając w swej dłoni rękę Jędrusia, — żeś mię pan oczarował, panie Andrzeju, że...

— Jezus, Marja! — w tej chwili krzyknęły naraz Jaś i Małgosia, odskakując w tył. — Coś tam leży panno Karolino. A takie duże... — wyrecytowała drżącym z przestrachu głosem Małgosia, tuląc się do nauczycielki. Wskazywała o parę kroków naprzód, gdzie wał wysokiej pszenicy zacieniał zupełnie węższą w tem miejscu drogę polną. Rzeczywiście widać tam było coś, jakby dużą bryłę, poruszającą się chwilami. Jaś tymczasem roztropnie zretirował się już za plecy pana dyrektora.

Jak się domyśleć nietrudno, Jędrusiowi jako „mężczyźnie“ należało zbadać inkryminowany objekt, który tak niespodzianie wlazł w drogę wywnętrzającej się do głębi serca pannie Karolinie, i całe towarzystwo przestraszył. Przystąpił tedy do owej bryły, pochylił się, i po chwili obserwacji z wielkiem zdziwieniem zawołał:

— Wszak to jakaś biedna kaleka... bez ręki, która widocznie zaniemogła tu niespodzianie..

— Prędzej może upiła się w karczmie i teraz się wysypia na świeżem powietrzu... — dorzuciła z niechęcią p. Karolina, zła, że to spotkanie przerwało jej interesującą rozmowę z Jędrusiem.

Małgosia zasłyszawszy, że to kaleka i prawdopodobnie słaba, jednym skokiem znalazła się koło nieznajomej. „Co wam jest, biedna kobieto“! pytała przyklęknąwszy koło niej i drąbną rączką usiłując podnieść bezwładnie leżącą głowę żebraczki. Chora nie odpowiedziała, bo widocznie była bezprzytomna.

— Trzeba ją w jakiś sposób przenieść do dworu, bo tu jeszcze umrze bez ratunku... Boże mój Boże, biedna kobieta... mówiła Małgosia łamiąc ręce, i już jej się na płacz zbierało.

— Ależ uspokój się Małgosiu, czyż warto to tak interesować się i kłopotać jakąś babą, która najpewniej jest pijana! Gdy się wyspi, powlecze się jutro dalej! — perswadowała z chłodem i spokojem panna

Karolina, przystępując zwolna i z powagą do klęczącej ciągle Małgosi.

— Panna Małgosia słusznie mówi — wtrącił Jędruś niemile dotknięty zachowaniem się i obojętnością panny Karoliny. — Widać przecie, że ta biedaczka chora, i żadną miarą nie godzi się zostawić ją tutaj... Pobiegnę do dworu po dwóch parobków.

— Tak, tak, niech pan prędko idzie, my tu zostaniemy tymczasem koło niej — wtrąciła szybko Małgosia.

— Dobrze, ale w takim razie zawczasu, przygotuj się pan, a i ty Małgosiu także, na burę od ojca.. Znasz go przecie, że nie pozwala zatrudniać sługi bez swojej wiedzy — zauważała przezornie panna Karolina.

— Już ja tateczkę przeproszę... leć pan czemprędzej panie Andrzeju...

Gdy Jędruś pędem strzały pobiegł do niedalekiego ztąd domu, panna Karolina nie mogła się powstrzymać, ażeby surowo nie wyrzucić Małgosi, że wcale nieodpowiednio dla panienki jej wieku znalazła się była przed chwilą... Klękać na ziemi dla jakiejś tam żebraczki, i to koło młodego mężczyzny, — bo Jędruś także pochylony był nad chorą, — to nie a propos dla panienki dobrego domu... — strofowała gorliwa nauczycielka. Małgosia milczała, bo łagodne dziewczę nie odważyło się nigdy tłumaczyć lub protestować, jeno potem rozpłakała się rzewnie, nie rozumiejąc, za co otrzymała naganę.

W kwadrans zjawił się Jędruś z dwoma parobkami, i nieprzytomną kalekę zaniesiono za poradą jednego z nich, do stojącego na uboczu mieszkania żonatych fornalów. Panna Karolina wróciła z dziećmi do domu, chmurna i zła w duchu, Jędruś poszedł zająć się kaleką. Po kilkogodzinnych cuceniach przyszła do siebie; pokazało się, że biedaczka idąc pieszo z daleka do wsi rodzinnej, przez kilka dni prawie nic w ustach nie miała. Wypocząwszy przez dwa dni, a zaopatrzona przez Jędrusia jakim takim groszem, powlokła się staruszka dalej, błogosławiąc jego i „śliczną panienkę,“ która również przyniosła jej była węzełek z pożywieniem na drogę, i kilkadziesiąt centów. Cały to był zapas Małgosi, który miała uskładany z owych chwil rzadkich, gdy tatko rad z jakiegoś interesu, zarobiwszy dajmy na to tysiąc guldenów, dał dzieciom po szóstaczku, zalecając by go szanowały, bo to „duży już pieniądz“ na te ciężkie czasy!

* * *

Miesiące szły w Zrębach zwykłym trybem — dzieci państwa Wilskich robiły znaczne postępy w nauce, do której się nawet przykładały z widocznem już zamiłowaniem, — a i stosunek rzekomej przyjaźni ścisłej, w który panna Karolina zręcznie wplątała nieopatrznego Jędrusia, zdawał się rozwijać pomyślnie, podług jej zamiarów skrytych. Sądzimy, że zbytecznem byłoby podnosić z naszej strony, jakiej to osnowy i natury mogły być owe zamysły panny Karoliny co do ładnego, i ze wszech miar nader korzystnie przedstawiającego się młodzieńca... Jędruś liczył wówczas dwadzieścia kilka lat, był tak piękny, jak się rzadko ludzi spotyka; miał przy tem zalety wszystkie, o jakich zamarzyć tylko może kobieta doświadczona i nie pierwszej młodości, gdy pomyśli o tym wybranym, którego ma kiedyś poślubić. Pracowity, zdolny, miał przed sobą przyszłość tak jak zapewnioną — słowem mógł być idealnym mężem dla każdej, a nie dopiero trzydziestoletniej panny, która prócz zaokrąglonych lecz przekwitłych niestety wdzięków, wielkiej dozyś zarozumiałości, paczki świadectw z długoletnich obowiązków prywatnej nauczycielki, i — o czem zresztą tylko sama zapewniała na ucho — kilku tysięcznej gotówki odziedziczonej czy uciułanej szczęśliwie... nic więcej zresztą nie miała tak dalece do dyspozycji dla upatrzonego męża... Mylimy się — szczyciła się nadto protekcją osobliwą jednego z dobrze podtatusiałych już panków galicyjskich, który podobno tak ją lubił i uważał, jak bliską sobie krewnę... Niejednokrotnie w rozmowie wyjeżdżała z ową znajomością i przyjaźnią znakomitą, i zdawało się jej, że ogromnie tem imponuje Wilskim. Tymczasem pan Wilski, choć w oczy milczeniem zbywał, poufnie przed żoną w niedwuznacznie złośliwy sposób wyrażał się zawsze o tym przechwalanym stosunku tej „guwernantki“ z baronem***...

Panna Karolina tedy miała się nie na żarty ku Jędrusiowi. A Jędruś? Zrazu czegoś instyktownie odciągał się, i chłodno przyjmował częste wynurzania afektów przyjaznych. Atoli wytrwałość i upor kobiety zwyciężyły w końcu nieotrzaskanego z życiem i ludźmi chłopaka... Zaczął wierzyć w nadzwyczajną jej życzliwość i przyjaźń dla siebie, i powoli, powoli, inaczej jakoś nawykł patrzyć w wiele obiecujące oczy panny Karoliny... Gdy się raz znalazł na tej drodze niebezpiecznej, było tylko kwestją czasu i sztuki zręcznej w swej robocie kobiety, ażeby go osidłać do reszty, i zrobić z nim, co sama zechce. Otóż rozminęlibyśmy się z prawdą w opowiadaniu, twierdząc, że Jędruś zakochał się w pannie Karolinie, — choć wielu by nam z tych uwierzyło, którzy nieraz widzieli w swem życiu ten fenomen szczególny, że przedmiotem pierwszej miłości młodych chłopców, najczęściej bywają znacznie starsze od nich kobiety. Jędruś — powtarzamy — nie zakochał się, aczkolwiek z drugiej strony ciągle ułatwiano mu rozbudzenie tego uczucia: mimo to jednak, polubił ją, i co gorzej dlań, nie wystrzegał się już samotnego z nią spotykania. Przeciwnie zauważył, że na rozmowie z nią wcale przyjemnie zeszły mu codzień jedna lub dwie godziny — wolne od zajęcia. Coś go niebawem zaczęło ciągnąć bezwiednie na te konferencje o szarej godzinie... (gdy raz zapytał pannę Karolinę, czemu o zmroku lampy nie zapala, odrzekła mu, że niechce robić przykrości Wilskim, którzy krzywią się, gdy ona więcej nafty zpotrzebuje w swym pokoju...) i wcale miłemi znajdował pogadanki poufne, t e t e a t e t e na małej kozetce.

Tematu do rozmowy nie brakło im nigdy, zwłaszcza pannie Karolinie, gdyż Jędruś najczęściej słuchał tylko. Zwykle rozpoczynała od rozpamiętywania kończącego się dnia i jego wypadków. Państwo Wilscy skąpstwem swojem i rozmaitemi dziwactwami dość nastręczali się jako dogodny przedmiot do przyjacielskiej obmowy. Powoli, nieznacznie, panna Karolina zawsze zeszła na własne „ja“ — a w tej znowu mierze miała mu tyle, tyle do powiedzenia...

(C. d. n.)

Z poezyj W. Z. Kościałkowskiej.

Z dni smutku.

Gdy się nam wdzięczy losu bożek zmienny,
Rozkosz gdy z pełnej czary nam się leje —
O! Jest z kim zrywać szczęścia kwiat wiosenny,
O! Jest z kim dzielić wiarę i nadzieję,
Łzy i uśmiechy... W radości, w weselu,
Na uczcie życia jest przyjaciół wielu!

Ale gdy chmura osiędzie na czole,
Troska — macocha, gdy wesołość spłoszy,
I młodość złamie — a w biesiadnem kole
Któż pozostanie? Ci co w dniach rozkoszy
Wiernymi byli — odstąpią w niedoli...
Kielich goryczy — kiedy serce boli
Pijem samotni. Fortuny czciciele
Wraz z nią odbiegli — gdzież są przyjaciele?

Na to pytanie cóż nam odpowiada?
Niewdzięczność jednych — innych zapomnienie —
Jęk uniesiony przez wędrowne stada,
Echo odbite o mogił sklepienie...
Bo wspomnień parę — tęsknot bardzo wiele —
Oto jedynie wierni przyjaciele!

Z Lermontowa.

Nie wiń mię, błagam, o panie wszechmocny,
Za to, że kocham ziemski pomrok nocny,
I że zwątpienie w mej wzburzonej duszy

Żywe strumienie twojej woli głuszy:
Za to, że rozum wśród walki z zwątpieniem
Przed tobą, Panie, cofa się z cierpieniem,
Lecz nie z pokorą... Namiętności szały
Wrąc w piersiach moich serce mi skowały,
Oczy chmurnemi zamglone powłoki
Spragnione patrzą w wiedzy krąg szeroki..
Nie wiń mnie, Panie! Mnie ciasno na ziemi
I pieśni nucę ustami drżącemi —
I chciałbym wzbić się i latać po niebie —
Chciałbym się modlić,.. chociaż nie do ciebie!
Panie, zgaś we mnie ten płomień natchnienia
Serce mi zamknij pieczęcią z kamienia
I duch mój wolny, śmiały i proroczy
Zagaś!... Gdy grobu chłód mię już otoczy
Wśród ciszy mogił, bez pragnień, marzenia —
Tam może wejdę na drogę zbawienia!!

Żagiel.
(z Lermontowa)

Bieleje żagiel samotny wśród lekkiej
I mglistej morza fali. W szybkim biegu
Czego on szuka tam w stronie dalekiej..
Cóż on porzucił na rodzinnym brzegu?

Pienią się fale — wicher żagiel wzdyma
I maszt pod żaglem z jękiem się ugina...
O nie! on szczęścia nie szuka wśród toni —
I nie za szczęściem on tak chyżo goni..

Gdy pod nim wody jak lazury czyste
A nad nim słońca promienie złociste —
Wtedy się miota, bo spragniony burzy
Lecz nie spokoju — jemu wicher służy!

BALLADOMANIA
po pierwszem wystąpieniu
MICKIEWICZA.
przez Antoniego Mazanowskiego.

(Dokończenie).

Po roku 1829 balladomania nieco ustaje. Ballad pojawia się wprawdzie jeszcze nie mało, atoli świat poezji romantycznej odkrywa coraz nowe obszary i zajmuje je, na czem traci ballada. Wprawdzie czasopisma porjodyczne nie bronią jej wstępu, ale wyłącznych zbiorów nie masz, a pojedyńczo rozrzucone, różnią się znacznie od poprzednich. Znika bezpowrotnie „dziwność,“ zapanowuje nastrój łagodniejszy, większa naturalność i prostota. W drugim tomie Meliteli na r. 1830 umieszcza Odyniec już tylko jedną balladę Gaszyńskiego Konstant. pt. Wesele Hajkony. Jestto naśladowanie ballady Odyńca pt. Wesele.

O rękę i serce Hajkony ubiega się stary bogacz Mustafa-aga, i młody ubogi Sonko Dubbini. Dziewczę woli młodego. Ojciec jednak oddaje ją staremu. Podczas weselnego obchodu porywa ją Sonko, a widzowie kontenci z tryumfu dzielnego Sonka.

W 1831 w Bibliotece Ossolińskich [1]) znajdujemy oryginalną balladę J. Milewskiego [2]) pt. Olszyna, a w zeszycie następnym Iskra. Obie zbyt długie i nudne. W Olszynie np. przez ciąg kilkudziesięciu zwrotek dziecię, wzywając ojca do zemsty za śmierć matki — w uniesieniu przemawia językiem filozofa — moralisty.

Pajgert Józef pisze w 1831 balladę: Żal poety po zgonie matki [3]); Stefan Garczyński miał jeszcze w 1833 pisać ballady. [4])

W 1833 wychodzi w Poznaniu dalszy ciąg wydanych w 1829 poezyj pt. Nowy parnas polski, a w 2 tomie zbiór poezyj Aleksandra Chodźki, który uważać można za ostatni silniejszy odgłos balladomanii.

Jeżeli Witwickiego uznaliśmy za ślepego i najmniej narodowego naśladowcę, jeżeli Odyniec, w pierwszej połowie działalności poetyckiej należy do miernych, w drugiej wyzwala się i staje się bardziej oryginalnym, — to najmniej grzeszy, najwięcej jest swojskim, choć wcale nie wolnym od wpływu Mickiewicza — Chodźko.

Pomieniony zbiór zawiera 7 ballad, łącznie z balladą Wasilek, o której była mowa wyżej.

W Malinach naśladuje autor Lilje Mickiewicza. Do matki dwóch córek przyjechał pan, by jedną z nich obrać za żonę. Obie mu się podobały. Dzban malin ma wybór rozstrzygnąć. Wybiegają obie: jedna drugą zabija, a fujarka, wykręcona przez panicza z wierzbiny, co nad grobem zabitej wyrosła, zdradza zabójczynię, która „pobladła, jak stała padła.“ Jestto przerobienie znanej ludowej piosnki:

„Graj pastuszku graj,
Bóg ci pomagaj“ itd.

To samo podanie i u Mickiewicza. Główne różnice w tem, że Mickiewicz oparł je o tło historyczne, sięgnął głębiej w charakter kobiety, że wreszcie bardziej zmodyfikował zewnętrzny kształt baśni ludowej. U Chodźki przeważa liryzm: głębszych motywów dopatrzeć nie można; Mickiewiczowi wcale a wcale nie dorównuje, atoli forma udatna, wiersz dziwnie śpiewny, gładki i wyrobiony.

Bardziej opisową, odznaczającą się pięknymi obrazami jest ballada „Łódź rybacka,“ przerobiona z Knoxa. Maluje w niej autor uczucia trwogi, żalu i niemej rozpaczy, jakie przejmowały oddalającego się bez steru w dal morską rybaka.

Umiarkowanie i pewna harmonia cechuje sposób przedstawienia Chodźki. Zapewne — dramatyczności tu nie szukać, prawdy psychologicznej w odtworzeniu stanów uczucia mało, atoli najlepszym dowodem wielkiej zmiany sposobu widzenia romantyków na korzyść prawdy realnej jest to, iż Chodźko nie korzysta wcale ze sposobności wprowadzenia duchów na scenę, jakkolwiek moc okoliczności sprzyjała.

Trzecią z rzędu balladą w owym zbiorku są Herby. Większe, niż gdzie indziej naśladowanie Trzech Budrysów. Forma piękna treścią sojusz Litwy z Polską. Inne, jak Hajduki, Upiór, Nieznajomy, mniej zasługują na uwagę. U Chodźki przeważa liryzm. W balladach po części wcielają się słowa motta na poezjach: „śmiechy, żale, przyjemności i gorycze, w jednej godzinie posiane razem weszły.“ Wszędzie zaleca go prostota i naturalność obrazowania, niekiedy plastyka, której mógłby mu pozazdrościć ówczesny Mickiewicz. Chodźko jest nawskróś swojskim, zamiłowanym w podaniach ludu słowiańskiego i jego życiu. Często spotkać można śliczne opisy natury, jak perły tu i owdzie rzucone. W Wasilku czaruje barwnością obrazowania.

„Poranne słońce na wioskę blask roni
Dokoła złoci się zboże,
I żółte fale pływają po błoni
Jak płyną fale przez morze.“

Nigdzie przesady: wszędzie poczucie miary, i spokojne a trafne ujęcie epicznego poety.

Zbiór Chodźki uważamy za ostatni większy objaw ruchu balladowego, który słabnie coraz bardziej i wreszcie zupełnie ucicha. Rodzaj ten poezji, tak popularny między rokiem 1822 a 1830, co tyle klasykom krwi napsuł, a tak się podobał romantykom, teraz zapomiany, usunięty, zastąpiony przez inne rodzaje, znika prawie całkiem, służąc niekiedy za zdawkową monetę poezji do zapełnienia luk w noworocznikach, kalendarzach i tym podobnych efemerycznych wydawnictwach Dla uzupełnienia obrazu balladomanii, wskażemy ogólne wady tego ruchu i pokrótce wyjaśnimy wzrost ich skutkiem ślepego naśladownictwa.

Nie trudno z powyższego przeglądu wyrozumieć, że świat pojęć autorów ballad obejmował poglądy z życia społecznego, rodzinnego i indywidualnego.

Do życia obyczajowego przeszłości zwracają się później i odtwarzają dość udatnie parę jego rysów. Atoli o wniknięciu w głębie charakteru narodowego, o wynalezieniu w przeszłości narodu rysów rodzinnych, jemu tylko właściwych, i o odtworzeniu z nich narodowego ideału, naturalnie mowy być nie

---

1) zesz. 1 1831
2) 1832 zesz. 2 str. 29
3) Rozm. lwow. 1831 ur. 42.
4) Koresp. Mick. T. 1. str. 116

mogło w balladzie. Używano jej, jako oręża w walce, z zamiarem zdobycia stanowiska — i nic więcej. Szermierze pierwsi szli do boju z balladą, bo im ją wskazano, ale zresztą słabe mieli wyobrażenie o dziedzinie poezji romantycznej [1]) Religia, państwo, narodowość były to dźwięki prawie obce balladowym szermierzom. Owej późniejszej przewagi żywiołu narodowego w poezji, owego odtwarzania myśli i uczuć przeszłych wieków, którego nauczyła filozoficzno-estetyczna krytyka — w balladzie nie ma. Świat wyobrażeń ogranicza się przez to do przedstawienia życia rodzinnego i indywidualnego. Ale i tu — jak niebawem bliżej ujrzymy — ubóstwo wielkie. Treści przeważnie dostarczały stosunek sługi do pana, ojca do syna lub kochanki do kochanka — i odwrotnie: — kilka kształtów życia prymitywnych, łatwo dających się spostrzegać. i dostarczających nie wiele a niezawikłanych konfliktów.

Zdawałoby się więc, że życie osobiste, przez romantyków podniesione wysoko — w balladzie znajdzie silnego i wymownego tłumacza. Istotnie stanowi ono najczęstszy motyw — ale nic więcej. Rzadkie i nieudatne są pokusy przedstawienia głębszego pokładu, wielkich namiętności, entuzjazmu, młodzieńczych, pełnych siły i zapału zapędów, jak u Mickiewicza. Są zwyczajne uczucia, a dźwiękiem, który się nieustannie obija o uszy — jest miłość. Witwicki świat poetów łączy ze światem miłości [2], przypisuje jej niezwykłą siłę przeczuć [3]). Zaleski sądzi, że „zewnętrz serca niema życia" [4]), a trzy czwarte wszytkich pomysłów służą do przedstawienia różnych kolizyj miłości. Ale cząstkowość i ubóstwo tychże najsilniej uwydatnia się w powtarzaniu jednego motywu pokilkakroć — zwykle śladem wybitniejszego poety. Po Czatach Mickiewicza — potrącają o te same dźwięki Odyniec w Weselu i Brance Litwina, Chodźko w Herbach, Gaszyński w Weselu Hajkony; Pani Twardowska służy za wzór dla Boguckiego (Sowy), autora Djabła w Rumszyszkach, Odyńca (Strachy), Witwickiego (Zamkowa góra), Artymowskiego. Wierność znajduje swych poetów w Odyńcu i Witwickim itd

Samo opracowywanie jednego i tego samego motywu nie ubliżałoby poetom, gdyby umieli wybierać — i wynużać dźwięki nowe, świeże. Już ci nikt nie mógł żądać od naśladowców Mickiewicza, aby samodzielnie tworzyli pomysły genialne i zdumiewające nowością. Słusznie atoli można było wymagać, by naśladownictwo nie było niewolnicze, by postacie żyły, a zarysów ich można odszukać w jakiemkolwiek społeczeństwie lub uczuciach własnego serca, by zresztą w powtarzaniu pokilkakroć motywu — każdym razem uwydatnił się jakiś nowy pominięty rys natury ludzkiej. Tak nie było. Wybierano do naśladownictwa ballady, jak Powrót Taty, Pani Twardowska, lub rysy obyczajowe jak wierność, ballady same w sobie nie poruszające ważnych i głębokich strun duszy ludzkiej. Ale nie dość, że całe bogatwo życia, mnóstwo zagadnień i tajemnic jego sprowadzili naśladowcy do kilku konwencjonalnych pierwiastków honoru, wierności i miłości. Nie celując ani wybitnemi zdolnościami, ani nauką — entuzjazmowali się na zimno, tworząc skutkiem tego dziwolągi Można do nich zastosować słowa Brandesa: „wszystkie uczucia i namiętności, jak ujeżdżane konie rycerzy poddane są doskonałej tresurze. Zawsze wie się z góry, jaką ma drogą pójść wszystko." [1])

Jeśli ballady — główna broń naśladowców Mickiewicza — nie świadczą chlubnie o ich filozoficznem wykształceniu — to i o ich artyzmie nie lepsze dają wyobrażenie. „Unsere Zeiten — wyraził się Tiedge, sind zu sehr und zu wenig poetisch." Da się to zastosować do powyższego ruchu w literaturze. Wielu poetów romantycznych nie pojmowało istoty poezji nowej. Kiedy Mickiewicz pisał ballady, czując, że nowy kierunek się spotęguje, zabierając w swe panowanie dziedziny poezji gminnej, dotychczas nietknięte, inni szli za nim bez tej świadomości, często dla tego tylko, by pozyskać nieco sławy, rozgłosu... A środek do jej zdobycia tak się wydawał łatwym. Cóż bowiem łatwiejszego, jak wymyślić bajkę o upiorze, nadziać ją duchami, cmentarzam itd.? „Nie dziw więc, (mówi jeden ze spółecznych) że zamiast pięknego jelenia łowią strasznego dzika lub potwornego niedźwiedzia. Posłyszeli, że dziwność jest duchem, znamieniem i najwyższą romantyczności ozdobą, chwytają więc z Goszczyńskiego sowy, puchacze i wisielców, z Mickiewicza czatyrdachy, namary, kurhanki itd, nie mając pojęcia, że każdy płód poetyczny z sfery sobie właściwej czerpać powinien swoje piękności." Powszechnie zarzucano im „brak wszelkich reguł, przesadę stylu, ciemność wyobraźni i dziwactwo imaginacji" [2]) Bliższe rozpatrzenie rysów ogólnych ballad wykaże słuszność tych zarzutów.

Wiadomo, pod jak silnym wpływem poezji i balad niemieckich pozostawali ci, co pierwsi rozniecili jej pochodnie u nas. Wiadomo: że poezja gminna streszcza w sobie ducha ludu, jego wyobrażenia, obyczaje, zwyczaje, pojęcia religijnego i rodzinnego życia, stanowiąc prawdziwie rodzimy pierwiastek każdego narodu. Jak tedy różne są z istoty swej charaktery Niemców, Słowian itd. tak też odmienne cechy mają ich podania gminne, ich poezja ludowa. Ale jeżeli zważymy, że w artystycznem obrobieniu — ostre rysy się łagodzą i zaokrąglają, wybitne cechy bardziej uogólniają i poemat często przybiera ogólne ludzkie pozory, nie tracąc w głębi ukrytego pierwiastka swojskiego, którego ledwie dostrzec i odróżnić potrafi oko wprawnego znawcy, łatwo pojąć, jak niebezpiecznym mógł stać się dla wielu młodych poetów wpływ utworów poetycznych, zwłaszcza ballad niemieckich, co tak nęciły swą oryginalnością, świeżością i świetną formą zewnętrzną. Tylko taki poetyczny talent, jak Mickiewicza, pod względem artystycznym niesłychanie wrażliwy i czuły, potrafił wówczas powstrzymać zapęd pierwszych uniesień i odpowiednią zachowawszy miarę, zastósować swe utwory do istoty ducha narodu, z którego czerpał ich wątek.

Charakter ludów germańskich nie zupełnie podobny do charaktsru Słowian. W balladach gminnych germańskich widać zamiłowanie czynnego i pełnego przygód życia, wszystko tam tragiczne, nawet litość; pieśni słowiańskie odznaczają się uczuciami o wiele łagodniejszemi, spokojniejszemi, i większą zdradzają miękkość.

Otóż główną wadą naśladowców pod względem artystycznym, było przejmowanie z obczyzny tego, co nie odpowiadało duchowi narodu. I stało się, że ci, co ciągle mówili pisali i walczyli o narodowość poezji, sami okazali się w swych poetycznych utworach wcale nienarodowymi.

Z tego zarzutu wypływa bezpośrednio, drugi, nie mniej ważny: niewykłe rozbujanie fantazji. Mickiewicz trzymał całą akcję w należytych karbach — i wprowadzając wpływ świata nadzmysłowego na człowieka, przedstawiał ludzi i ich stosunki najczęściej po ludzku, a we wpływie świata duchowego, czuć naturalność wiary ludu; naśladowcy przekraczają granice prawdopodobieństwa. Tam, gdzie trzeba było zakres fantazji ściśle zwęzić, bo sam wątek podań skupiał wiele pierwiastku nadnaturalnego, naśladowcy rozszerzyli granice jej ad infinitum, — zamiast złagodzić, wyostrzyli wszystkie rysy wiary ludowej tak, że lud niezawodnie nie przyznałby się do swych wierzeń, w ten sposób

1) Odyniec w r. 1823. 31 marca pisze odę do Teofila Januszkiewicza wedle reguł klasycznych. Zaczyna „O ty, co przez czarowne dzielnych farb użycie itd." Zresztą nierównie później, bo w 1829 poglądy Adama na poezję wydają mu się „całkiem nowe" (Od. listy T. 1. str. 343).

2) Czarowny zamek t. 2 str. 111

3) Heron i Zena t. 2 ostatnia ball. (fragm.)

4) Dzien. Warsz. 1786 str. 62.

1) Bibl. pol. war. r. 1826 t. 3 str. 230.

2) Głów. prądy lit. 19 w. t. 2 str. 231.

zmienionych. Wskażemy tu jako przykład choćby tylko nadużycie owego „coś,“ niewidomej siły natury, wciskającej się w czyny ludzkie. Autorowie ballad widzą „coś“ wszędzie i zawsze, nawet, w drobnostkach i to upatrywanie dochodzi do śmieszności.

„Coś jakby pies zębami
W samą piętę ukąsiło,
Rozśmiało się i uciekło.“ (Witw. str. 54)
„Coś pod wodą zajaśniało“ (Ibd. str. 58)
„Z hałasem się coś poruszy“ (Ibd. 65
„Coś po cmentarzu chodziło Ibd. 124)
„Coś by skrzydlate,
Zgrzytło, zapisło“ (Łapsiński 118) itd

Nie mniej ważną, a w ścisłym związku z powyższą wadą, jest ciągłe utrzymywanie czytelnika w naprężeniu uczuć. Często poeta wydaje się raczej oprawcą lubuje się w scenach gwałtownych, okrutnych, oddając uczucia uderza w najwyższe ich tony, miota nami nielitościwie.. Owe mordy, męki, pokuty, cierpienia to istne piekło, gdzie płacz i zgrzytanie zębów. Pod jednym tylko względem balladomania rzetelnie i prawdziwie okazała się pożyteczną, a zarzuty klasyków, czynione jej — niesłusznymi — pod względem czysto formalnym.

Poeci, piszący ballady, wprowadzili taką rozmaitość form wiersza, odznaczających się przeważnie śpiewnością i giętkością, że za to należy im się prawdziwe uznanie.

W obec panującego usiłowania odtworzenia w dźwiękach mowy i kształtach wiersza uczuć lub głosów natury, musiała się wyrabiać mowa i doskonalić technika wiersza, wyginając się bądź dumnie i hardo, to znów układając wdzięcznie, pieściwie lub zalotnie.

Łatwość wierszowania dozwalała autorom ballad igrać z formami jego — i niewiele znaleźlibyśmy przykładów ciężkiej, niezgrabnej lub koszlawej jego budowy. A dla tego, jeśli ze względu na treść w całej osnowie słusznem wydaje nam się złośliwe wspomnienie Mickiewicza o balladzie Kułakowskiego o szczurze „gdzie były kapitalne wiersze:

I strzyże uszami
I kłapie zębami
I kręci ogonem (miarowe!)“ [1]) to ze względu na formę zastósować go do balladomanów nie można. Tu ballada spełniła swe zadanie, podając późniejszej poezji środek łatwiejszego korzystania ze świata fantazji. — Jeśli chodzi o istotne, wewnętrzne znaczenie ruchu balladowego — nie jest ono dodatniem. Zamiast w balladach ująć świat wierzeń ludu słowiańskiego, tak fantastyczny i piękny, tworzyli dziwne sytuacje, obce narodowi charaktery, i nie ludzkie wywoływali postacie. Źródło tego leżało w małej znajomości drogi, którą szli, i środków, jakimi się mieli posługiwać. Można też słusznie odwrócić broń romantyków, i zarzucić im względem romantyczności to, co sami zarzucali klasykom:

Szło dwóch w nocy z wielką trwogą,
Aż pies czarny bieży drogą
Czy to pies
Czy to bies? (Epilog do ballad Odyńca).

1) List. do Zalesk. koresp. 1880 T. 1. str. 181

„Lepiej późno niż nigdy“

Obrazek z życia wiejskiego

napisał

A. S.

Zima była tak ciężka i mroźna, że starzy ludzie we wsi jeszcze takiej nie pamiętali. Śnieg spadł masami i potworzył ogromne zaspy. Ludzie bali się wychodzić na pole, bo się raz wydarzyło, że gdy Martyn Dudek, sławny kłusownik we wsi, poszedł z towarzyszami na polowanie, to zapadł się w jar, zasypany śniegiem tak głęboko, że gdyby nie szybka pomoc kompanów, pewnoby go więcej ludzkie oko nie ujrzało, i jego kłusownicza dusza siedziałaby po same uszy w piekle, „bo by był poszedł bez świętych sakramentów“ — tak przynajmniej wszystkie stare baby we wiosce utrzymywały.

Ranek był jasny, lecz mroźny, słońce biło promieniami w skorupę śniegową, i raziło w oczy tych, którzy chcieli przypatrywać się okolicy.

Na dachu chaty siedział Proć Kleban w kożuchu z czarnych baranów, które już należycie zrudziały, w czapce i z fajką w gębie. Jedna strona słomianego dachu była już czystą, teraz przyszła kolej na drugą. Ba! ale tuż obok chałupy Procia stała chata Iwana Sroki i opierała się dachem o dach sąsiada, tworząc z nim jakby wielkie koryto.

Proć myślał.. Ta, boć i miał o czem myślеć! Ledwie bowiem usunął śnieg z swej strony, to on nasuwał się zaraz z strony sąsiada.

— Hm! bo to i słoma się nie psuje i w chacie cieplej, i przecie jakoś porządnie, ale co ja mam jego śnieg zgartywać... Hej! kumie — zawołał z góry do sąsiada, który właśnie szedł do chaty.

— A co tam?

— Widzicie! bo co ja zrzucę z mego, to wasz mi się nasypuje.

— Dach to mój, ale śnieg nie mój, możecie go sobie zabrać!

— A to jak? zapytał Proć!

— No tak... wytłumaczył mu Iwan.

— No to za was nie będę robił...

— A któż wam każe?

— Ej! bo to widzicie i cieplej w chałupie i słoma się nie psuje, i zawsze to porządniej!

— Mnie i tak dobrze.

— E — posłuchalibyście dobrej rady.

— Co mi tam mruknął Iwan i poszedł do chaty.

— Ta cóż... to zmiotę i za niego, bo będzie mi naciekać! — i zmiótł śnieg z obu dachów. Podobna rozmowa powtórzyła się kilka razy.

— Ej! słuchajcie! albo zmiatajcie z swego dachu — albo sobie inaczej poradzę...

— A to jak?

— Poskarżę do sądu...

— Ta dobrze... i znowu Iwan poszedł swoją drogą.

— Czekaj psia wiaro... już ja cię teraz nauczę — i podał skargę do sądu.

— A co? pyta sąsiad na drugi dzień, opierając się rękami o płot Procia. Proć nic nie odrzekł, tylko palił fajkę i rąbał drzewo tak zamaszyście, aż trzaski o dwadzieścia kroków odlatywały. — No — a co? pyta po raz drugi.

Proć obrócił się i zawołał: Pójdziesz?

Oczy mu się zaświeciły, a wyglądał tak strasznie z siekierą w ręku, że Iwan odstąpił czemprędzej od płotu, i z trwogą spoglądnął na sąsiada.

— Owa... jaki mi straszny pan! krzyknął już w progu chaty.

Proć nic już nie powiedział, tylko dalej rąbał.

II

Była niedziela, nabożeństwo już się skończyło i ludzie wychodzili z kościoła. Na drodze stał Iwan i przypatrywał się przechodzącym obok, jakby kogoś szukał. W krótce znalazł go, i sam postąpił ku niemu. Był to Proć, w nowym kożuchu, w ogromnych butach i w ogromnej czapce. Był już blisko Iwana, ale ani na niego nie spojrzał. — A to barania głowa... rzekł półgłosem. Proć podniósł głowę do góry, siwe oczy powiększyły się dwa razy, policzki krwią nabiegły, i przez wpół otwarte usta połyskiwał zębami.

— Ej! słuchaj ty świszczypysku jeden... ty prałacie jakiś! stul mordę, bo jak cię lunę, to wszystkie zęby ci wylecą!

— A no! rzekł nastawiając się Iwan. Ale Proć się pohamował.

— Postąp się! wrzasnął na tamującego mu drogę. Iwan zawahał się, ale ustąpił.

Ot! widzisz go... mruknął drwinkując.

— Ato psia morda ... myślał Proć... Był zirytowany... Nie poszedł już do karczmy, jak zwykle, lecz do chałupy. Baba siedziała w alkierzu, pilnując dzieci. Proć siadł na ławie

— Ej! słuchaj Hanka, żebyś ty mi się nigdy z tym złodziejem nie wdawała...

— No albo co? a co to między wami? Mąż splunął tylko. — Iwanową to poczciwa baba... rzekła broniąc sąsiadkę.

— No Iwanowa! ale z nim nic, rozumiesz?

— Dlaczegobym nie rozumiała? może ta co zjesz? Jest kapuśniak, ta pierogi z kartoflami.

— Ta daj — i zaczęli łyżka za łyżką z jednej miski powoli zajadać. A Proć od czasu de czasu spluwał, i tupnąwszy nogą. mruczał: „Czekaj szelmo“.

III

Nadszedł luty.

Proć pojechał do lasu po drzewo, wracał wieczorem do domu i spotkał jadącego Iwana.

— A przyszło już tam z sądu pyta? — śmiejący się Iwan. Proć zaciął konie, i minął sąsiada nie nie powiedziawszy. Z sądu nieprzychodziło nic, i to go niewymownie martwiło — przecież miał słuszność za sobą!

Wreszcie i wiosna poczęła topić śniegi i zielenić łąki i gaje. — No teraz to mi coś zrobi... myślał Iwan. Proć przestał także się martwić — stracił nadzieję przyjścia wyroku i począł powoli o tem zapominać. — E! cotam!.. mruczał od czasu do czasu.

Maj porozwijał liście wszystkim krzewom i drzewom, i napełnił lasy ptactwem. Wszyscy byli zajęci w polu i ogrodach.

W tem dnia jednego otrzymują obaj sąsiedzi rozkaz stawienia się do wójta. Zebrali się i poszli. Obaj pełni radości, obaj uśmiechnięci: jeden szyderczo, drugi tryumfująco. Weszli do gminnej kancelarji, i miny im spoważniały Wszyscy radni byli zgromadzeni.

— No! macie odpowiedź ze sądu, rzekł wójt i począł czytać:

„Iwan Sroka ma natychmiast śnieg z swego dachu zgarnąć, wprzeciwnym razie ulegnie stosownej karze.“

Żaden z obecnych się nie roześmiał.

— Przecie stanęło na mojem! zawołał uradowany Proć. Radni kiwnęli głowami, Iwan uśmiechał się z powątpiewaniem.

— A gdzie śnieg,?... ta niema... rzekł jeden z radnych. Towarzysze znowu kiwnęli głowami.

— To to niby tak: wilk syty i koza cała... ktoś się znów wyrwał.

— No ta tak.. potwierdzili wszyscy.

— Lepiej późno niż nigdy... dodał wójt.

— Ta niby...

— Ej chodźcie się napić na zgodę.!

— Ta tak, to wypada... — odrzekł Proć i podali sobie ręce.

A potem cała rada gminy z wójtem na czele poszła do karczmy, i pijąc śmierdziuchę podziwiała Salomonowy wyrok.

Przegląd literacki.

Dwa nowe dzieła, traktujące o ostatnich chwilach przedrozbiorowych.

(Sejm czteroletni — napisał X. Walerjan Kalinka T. I. Kraków, 1880. T. II. Lwów, 1881. Wewnętrzne Dzieje Polski za Stanisława Augusta — przez Tadeusza Korzona T. I. Kraków, 1882.)

napisał

B. Limanowski,

(Ciąg dalszy)

Rozdziały, poświęcone trwogom ukrainnym, należą do najlepszych w dziele ks. Kalinki. Bezstronnie. odważnie i gruntownie ocenił on postępowanie większości szlachec kiej w tej smutnej sprawie. „Przykro te rzeczy opowiadać — pisze ks. Kalinka — a jednak wiedzieć je trzeba, choćby dla te go, aby zrozumieć późniejsze wypadki. Odtąd chłop ruski na Wołyniu stał się jeszcze zawziętszym rządów polskich nieprzyjacielem; w czasie kampanii 1792 r., ks. Józef skarżył się ustawicznie, że nie może znaleść żadnego chłopa, któryby mu o ruchach armii nieprzyjacielskiej donosił; kiedy przeciwnie wszystko, co się w wojsku polskiem działo, było dokładnie Moskwie wiadome; przychodziło do tego, że musiano aż z Warszawy sprowadzać ludzi do śledzenia obrotów rosyjskich. Odtąd też i ksiądz unicki na Wołyniu, ktory i dawniej nie był w wierze umocniony, stracił do reszty przywiązanie do Kościoła, i wiadomo, że dość później było jednego ukazu Katarzyny, aby unja na Rusi niemal odrazu zniknęła..“ (Kal., I, 376 i 377). Autor bardzo słusznie ocenia, co były warte pogłoski o buntach chłopskich rozsiewane w Warszawie a stamtąd po całym kraju. Przypuszczając — na co nie godzę się w zupełności — że kobiety zajmowały się szerzeniem tych pogłosek, — autor dalej powiada: — „Bezwątpienia, czyniły to w dobrej wierze, a przynajmniej z jakichś patrjotycznych pobudek, nie zdejmuje to jednak z nich odpowiedzialności za fatalne i krwawe skutki tych popłochów, które rozsiały..“ (Kal., I, 382). Dzienniki galicyjskie powinnyby dobrze zapamiętać te słowa

Pomnożenie wojska potrzebowało przedewszystkiem ustanowienia nowych podatków. Sprawa jednak z niemi szła bardzo opornie. Za nim zdołanoby obmyśleć nowe źródła dochodów, uchwalono 26 stycznia 1789 r. podatek tymczasowy (pro tunc). Szlachta już doszła była do zrozumienia tego, że prawa jej wyjątkowe zmuszają ją także do pewnych obowiązków, i zastrzegła, że podatku tego nie należy ściągać z poddanych. Nie na wiele jednak to się przydało. Ponieważ zupełnie od woli szlachty zależało, samej zapłacić ustanowiony podatek lub chłopów swoich zmusić do tego, interes pieniężny przeważył wszelkie inne poczucie. W dalszym ciągu obrad nad podatkami, w dniu 26 lutego wniesiono do sejmu projekt: podwójnej kwarty od starostw, intraty z dóbr duchownych i dziesiątego grosza z dóbr szlacheckich. Starostowie zgadzali się na płacenie podwójnej kwarty, lecz chciano jeszcze, by płacili dziesiąty grosz mający być ustanowionym od dóbr szlacheckich. Starostowie jednak, których było 130 w izbie poselskiej — jak zauważył poseł Jezierski — oczywiście zdołali się obronić. Duchowieństwo atoli, które zgadzało się było płacić 20% od swoich dóbr, musiało jeszcze przyzwolić na płacenie tak zwanego *Subsidium charitativum*. Wreszcie z nadspodziewaną zgodnością szlachta przyzwoliła na dziesiąty grosz z dóbr swoich. Uchwała ta przejęła zdziwieniem przedstawicieli cudzoziemskich, uważnie śledzących za przebiegiem spraw sejmowych, a reprezentant Austrji, de Caché, który nie wierzył był, by zanadto pospiesznie uchwalona przez sejm w dniu 18 października 1789 r. stutysięczna armja mogła przyjść do skutku, zaczynał teraz w nią wierzyć. Narowy jednak szlacheckie stłumiły tę chwilową gotowość do ofiar. Kiedy bowiem przyszło obmyśleć sposób ściągania uchwalonego podatku, szlachta odrzuciła projekt Moszyńskiego, oparty na statystyce i cyfrach, a postanowiła zadowalniać się zaprzysiężonym wykazem samych dziedziców i ich sług. „Godna uwagi — powiada ks. Kalinka — że w całej tej sprawie podatków szlacheckich i ich poboru, od początku do końca Rzplta nie mogła rozstać się z ulubionemi nałogami. Głos jednego sejmującego zatrzymał niespodzianie projekt podatku; wobec jego opozycji, wola Stanów nie znaczyła nic, dopóki on dobrowolnie od niej nie odstąpił. Uchwała zapadała nie skutkiem narady, ani większością głosów, ale przez aklamacyję, jednomyślnie. Tylko, broń Boże, nie podatku, bo podatków stan rycerski nie płaci, bo nikt do niczego szlachcica wolnego zmusić nie może; więc to jest dobrowolna ofiara A gdy z kolei zajęto się jej wyszukiwaniem, wyznaczono niby komisarzów, w gruncie jednak wszystko zostawiono po dawnemu dobrej woli obywateli, bez innej kontroli, prócz sumienia. I to się działo nie pod zwyczajnym sejmem, lecz pod węzłem wszechwładnej konfederacji. Snać, na nic się nie przyda poprawna forma obrad lub rządu, dopóki w narodzie trwa duch niepoprawny. I przez zmienione formy potrafi on się przebić.“ (Kal., I., 441.).

Długie sejmowanie, przedłużane — jak wiemy — rozmyślnie przez intrygantów mo

skiewskich, przynosiło jednak swą korzyść. Ze starcia się zdań zawsze tryska światło, a światło tylko na złych z gruntu nie działa. Spostrzegano przytem szkodliwość chaotycznych obrad i bezużyteeznej gadatliwości, przekonywano się o korzyści wnoszenia na sejm dobrze już opracowonych poprzednio ustaw. Potrzeba porządku, pewnego regulaminu dawała się mocno uczuwać. „Litwa, zawsze przezorniejsza od Korony“ (Kal., I., 498) pierwsza dała przykład, jak należy przygotować ustawy do przyjęcia przez sejm“. Umówiwszy się między sobą o obowiązki i skład tych magistratur (komisyj porządkowych), posłowie litewscy przedyskutowali je starannie na sesjach prowincjonalnych, i jako rzecz ostatecznie ukończoną podpisali wszyscy, zmuszając swego marszałka, Sapiehę, do podpisu i do wniesienia na sejm. W tym kształcie, na sesji 17 listopada (1789) zjawił się projekt o *komisjach porządkowych cywilno-wojskowych na Litwie*. Zaraz kilku posłów koronnych poczęło robić nad nim uwagi, żądać poprawek i zanosiło się na długie rozprawy. Król rzekł: „co posłom litewskim wydało się dobrze dla Litwy, to Koronie szkodzić nie może, proszę o przyjęcie całej ustawy.“ Nie było racji do odmowy i zawołano trzykrotnie *zgoda*“ (Kal., I., 498). Korona poszła za przykładem Litwy i 24 listopada wniosła na sejm już gotową także ustawę o komisjach porządkowych. Ustawy te należały do najpożyteczniejszych ustaw Sejmu Czteroletniego.

Niezaprzecznie do silniejszego poruszenia i naprężenia umysłów w sejmie, a jeszcze bardziej poza sejmem, znacznie przyczyniła się rozwijająca w tym czasie rewolucja francuska Zaobserwował to bardze trafnie nuncjusz papieski. Ks. Kalinka oczywiście widzi tylko szkodliwy wpływ zarazy szerzącej się od Sekwany, zwłaszcza że już to nie byli dla kościoła ci Polacy co dawniej, jak zauważył nuncjusz papieski. Szlachta nie tylko zmusiła duchowieństwo do płacenia więcej, niż ono samo było zamierzało, ale nadto nałożyła 20-procentowy podatek na dobra maltańskie, przeznaczyła na wojsko dochody jednego z najbogatszych biskupstw — krakowskiego — po odtrąceniu 100000 złp. na pensję biskupa, i postanowiła to samo uczynić z dobrami wszystkich innych biskupów, po śmierci tych, którzy wówczas rządzili. Zabór majątku biskupstwa krakowskiege ks. Kalinka nazywa krokiem nieprawnym i arbitralnym, i dodaje, że ten krok do wielu innych arbitralności dał początek i swem zuchwalstwem stał się godnym zająć mniejsze obok spółczesnych uchwał Zgromadzenia narodowego we Francji.“ (Kal., I., 465).

Zupełnie inaczej patrzę na wpływ rewolucji francuskiej. Oczywiście, trudno przypuszczać, ażeby sejm konfederacyjny polski złożony z szlachty, mógł pójść za przykładem Zgromadzenia Narodowego we Francji gdzie liczba reprezentantów stanu trzeciego o przeszło 100 głosów przewyższała liczbę reprezentantów szlachty i duchowieństwa. Ale jak tam tak i tu, w samej szlachcie następowało rozdwojenie, i lepsza, światlejsza część szlachty coraz silniej poczuwała się do konieczności pewnych ustępstw, pewnych ofiar ze swojej strony dla sprawy dobra publicznego. W dniu 4 grudnia 1789 r. — jak wspominaliśmy już - zapadła bardzo ważna uchwała o rekrucie. Na wniosek posła Krasnodębskiego, zrobiono do ustawy dodatek, który bądź co bądź świadczy, że myśl rozszerzenia wolności na inne stany zyskiwała zwolenników pomiędzy szlachtą. Postanowiono bowiem, że włościanin, który pozostanie w wojsku na dalsze sześć lat, za przyzwoleniem atoli dziedzica, i nie popełniwszy żadnego kryminalnego występku, otrzyma wolność po ukończeniu służby. P. Korzon (424 — 438) bardzo starannie wynotował i inne uchwały, odznaczające się względnością dla włościan. Sprawa miejska w sejmie przedstawia jeszcze większy dowód. Mowy Niemcewicza, Kublickiego, Chreptowicza rozbijały potężnie przesądy i uroszczenia szlacheckie. Kiedy Suchodolski, przestrzegając szlachtę, by nie dopuszczała mieszczan do prawodawstwa, wskazał był na Danję, gdzie mieszczanie, przyszedłszy do udziału w sprawach publicznych, stracili wolność zarówno swoją jak i szlachty, — poseł Kublicki zauważał, że rewolucja francuska naprawi to, co złego zrobiła duńska: Wypadki francuskie wpłynęły niepomału na to, że dzięki zabiegom Kołłątaja i Deherta odbył się „niesłychany zjazd mieszczan“ w Warszawie i zaczął upominać się o swoje dawne prawa. Ks. Kalinka jest tego zdania że trudno dziś orzekać, czy to dopomogło sprawie mieszczańskiej czy nie. Dla nas niema wątpliwości, chociażby tylko z tego względu, że rozbudziło w mieszczanach świadomość swego położenia i poczucie swych praw, — a to jest zawsze najważniejszą rzeczą. Jak ważnem było dla Rzeczypospolitej przyznanie prawa mieszczanom, dowodzi najlepiej ustęp z dzieła Ks. Kalinki, gdzie on przytacza słowa naszych wrogów, obłudnie udających przyjaźń. Lucchesini pisał do króla pruskiego: „Chroniąc się jawnego wystąpienia, staram się pocichu przeszkadzać mieszczanom. Ucisk, w którym szlachta polska utrzymywała dotąd klasę miejską (a w niej najwięcej jest Niemców) nie zachęcał nikogo do przybywania tutaj z zagranicy i wstrzymywał zakładanie fabryk. Lecz gdyby ta klasa przyszła do udziału w administracji kraju, mogłoby to wielu mieszczan zagranicznych sprowadzić do Polski, a nadto przykład ten stałby się zaraźliwym dla państw sąsiednich.“ Odpowiada mu Fryderyk Wilhelm 14 grudnia (1789): „Dobrze robisz, że nieznacznie i pokryjomu przeszkadzasz. Bo w rzeczy samej, jeśliby udało się miastom polskim odzyskać dawne przywileje, toby fabrykanci z moich państw zaczęli przenosić się do Polski.“ (Kal., I., 511).

Na sesji 17 grudnia (1789 r.) przedstawiono stanom sejmującym *Zasady do poprawy rządu*, ułożone przez deputację konstytucyjną a głównie przez Ignacego Potockiego. „I duch i styl w nich francuski, połączony z tym republikanizmem polskim, który nie obala tronu, owszem zatrzymuje go, ale jakby na to tylko, by przy nim i ponad nim majestat i wszechwładztwo sejmowe tem lepiej zaznaczyć.“ (Kal., I., 556) „Nie jestto *deklaracja praw człowieka*, uchwalona przed kilkoma miesiącami we Francji — powiada dalej ks. Kalinka na nią w Polsce, dzięki Bogu (dla czego?), było jeszcze zawcześnie“. Ks. Kalinka widzi w *Zasadach* „całą butę i wielmożność szlachcica, który w swej wiosce dziedzicznej ma swoich poddanych, a w urzędnikach Rzpltej swe sługi (Kal., I., 558). Inaczej jednak i słuszniej przedstawia tę rzecz Kołłątaj. Ks. Kalinka usiłuje nawet rzucić cień podejrzenia na szczerość deputacji, mówiąc: „punkt pierwszy, który na wzór francuski, wszystkim mieszkańcom Rzpltej przyznawał wolność i równość, nie utrzymał się, nikt go nawet nie bronił.“ (Kal., I., 560). Kołłątaj jednak objaśnia, dla czego się tak stało (str. 116). Spieszono na gwałt z poprawą rządu, i uni kając walczenia o słowa, zmierzano głównie ku temu, „iżby została się łatwość udoskonalenia z czasem dzieła, i najmniej na przyszłość wiązaną była władza prawodawcza.“ (Koł., 111).

Drugi tom dzieła ks. Kalinki zajmuje się prawie wyłącznie polityką zagraniczną Rzpltej, a przeważnie stosunkami z rządem pruskim Obłuda i zdradzieckość tego rządu były ogromne. Już spółcześni napiętnowali byli je należycie, jak przykonywamy się o tem, odczytując znakomite mowy Foxa, wypowiedziane w parlamencie angielskim w 1794 r. Ks. Kalinka wydobył wiele nowych szczegółów, które w jeszcze jaskrawszem i wstrętniejszym świetle malują zdradziecki rząd pruski, zdradziecki — zauważmy nawet — względem własnego narodu, gdyż traktatem bazylejskim 1795 r. oddał niemiecki lewy brzeg Renu Francuzom, i ułatwiał samo rozbicie cesarstwa niemieckiego Pomimo to wszystko, postawa przyjazna,

chociażby nawet nieszczera, Prus względem Rzpltej, wielką jej pomoc przynosiła, i Rzplta mogłaby jeszcze większą korzyść odnieść z przymierza pruskiego, gdyby co najmniej polegała na Prusach, a wszystkiego spodziewała się jedynie od samej siebie. Doboli słusznie pisał do króla: „Każdy dwór ma swoją politykę, trzeba abyśmy i my mieli własną i nie spuszczali się na drugich, bo to ostatnia rzecz oczekiwać polepszenia od tych, którzy owszem popsuć mają interes“.

„Gdańsk i Toruń — powiada ks. Kalinka — oto tajemnica dziejów Czteroletniego Sejmu z ich zewnętrznej strony, oto klucz polityki dworu berlińskiego od czasu wybuchnięcia wojny tureckiej! I opieka jego nad Turcją, i związanie się z Anglją i Holandją, i przymierze z Polską, nie miało innego a przynajmniej ważniejszego zadania, jak zabór tych miast. Z żelazną konsekwencją, z wytrwałością żadnem niepowodzeniem nie dającą się zrazić, a giętką aż do podziwienia, dążył on do tego celu nowych wciąż probując środków i po każdej porażce inne układając kombinacje“. (Kal., II., 198). Wprawdzie, rząd pruski ukazywał w perspektywie Polakom odzyskanie Galicji, ale zato miał „zażądać czegoś nowego a dużo więcej“ (Kal., II, 198). Była to — jak widzimy — polityka zawsze zaborcza. Zaufać jej było wielkim błędem, ale korzystać z niej było obowiązkiem. Postawa rządu berlińskiego trzymała na wodzy rząd petersburski, i przyczyniła się do roznieceenia ruchu narodowego w Galicji. Jedno i drugie było pożyteczne dla sprawy narodowej. Lubo więc rząd pruski późniejszą zdradą wyrządził wielką krzywdę Rzpltej, to wszakże zaszkodziła ona sama sobie najwięcej, nie przykładając wszystkich sił do najważniejszej chwilowo sprawy: potężnego uzbrojenia się. — Opowiadanie o ruchu galicyjskim, należy także do lepszych ustępów dzieła ks. Kalinki.

O ile opowiadanie ks. Kalinki jest gładkie, potoczyste, zajmując, trafną dające pewnych osobistości ocenę jak np. Komarzewskiego i Debolego, przeplatane często uwagami pełnemi zdrowego rozsądku, o tyle ogólny jego przegląd historyczny, tak w zastosowaniu do nas jak w ogóle do wszystkich ludów europejskich, trąci *staroświeczczyzną*. Ks. Kalinka nie wyszedł jeszcze z fazy teologicznej. W poglądach swoich nie wiele się różni od Bossueta. Zresztą autor wcale nie kryje się ze swemi przekonaniami (patrz o wojnie I, 5°, o przywiązaniu podwładnego do swego zwierzchnika — I, 193: o arystokracji — I, 71; o kobietach I, 219; o rządzie — I, 193; o arystokracji I, 298 Ad.). Kaznodzieja nieraz zastępuje dziejopisarza. Autor ksiądz pobłażliwie sądzi biskupów i niepomiernie wysokie ma rozumienie o prymasie, ks. Michale Poniatowskim- Monarchiczno-ortodyksyjne jego stanowisko objaśnia nam także jego sympatję dla Rosji, do której, od czasu Józefa de Maistre'a, zaczęły się zwracać nadzieje wielbicieli przedrewolucyjnego ustroju społeczno-politycznego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Przegląd muzyczny.

Drugi koncert gal. Towarzystwa muzycznego za r. 188²/₃, dany w niedzielę d. 4. marca r. b., zgromadził tak liczną, prawdziwej muzyki łaknącą publiczność, jaką się żaden z koncertów, w ostatnim roku dawanych, nie mógł poszczycić. I z pewnością nie było ani jednego muzykalnego słuchacza, któryby nie wyszedł z sali zupełnie zadowolony. Rozpoczęto symfonią (d-dur) Beethovena. Jestto jeden z najpiękniejszych utworów tego mistrza, a tem więcej nas zachwycił, że był wzorowo, a jak na naszą orkiestrę znakomicie wykonany. Nawet klarnety, które zazwyczaj stanowią najsłabszą stronę ensemblu spisały się (szczególniej w Scherzu) bardzo dobrze. Słyszeliśmy zarzuty, że Larghetto było wzięte w tempie cokolwiek zanadto przyspieszonem, że przez to charakter tej części był zalterowany. Tak jednak zdaniem naszem nie jest. Larghetto to ma właśnie charakter swobodnej wesołości, jak cała symfonja; jedna melodja jest wprawdzie poważniejszego i głębszego nastroju, jestto jednak tylko jakby chwilowy odcień tęsknoty i smutku, bo zaraz w pierwszych warjantach skrzypcowych przebija się większa swoboda (Gemüthlichkeit), powiedzielibyśmy styl więcej Mozartowski, przy wolniejszem zatem tempie waryacje te wypadłyby zbyt rozwlekle i zatraciłyby właściwą cechę. Finale za to było wzięte w nader ożywionem tempie i odegrane ze szczególną werwą. A część ta jest prawdziwem zakończeniem, z każdego taktu czuć, że to korona i uosobnienie wszystkich uczuć szczęścia radości i siły młodzieńczej, przebijających w całej symfonii.

Jako N. 2gi koncertu odśpiewała Pni A. z p. Gerbiczem duet z opery Gounod'a Romeo i Julja. Jakkolwiek kompozycja ta dramatyczna nie nadaje się do produkcji koncertowej, mimo to z wielką przyjemnością słuchaliśmy ślicznego głosu p. A. i jej jasnej, rozumnej a pełnej uczucia deklamacji. Natomiast p. Gerbicz nie zadowolnił nas tym razem, partja ta bowiem nie leży w jego głosie i jest dlań za forsowną. Następnie odegrał p. Wolfsthal Arję węgierską Ernsta, kompozycję na wskróś skrzypcową pełną najpiękniejszych efektów i niezwykle wdzięczną dla każdego wirtuoza, którego notabene nie odstraszą kolosalne trudności techniczne. Wiemy jednak z poprzednich występów p. W., że ta przeszkoda nie istnieje dla niego, pokonywa bowiem wszystko z łatwością mistrza. Podziwialiśmy zwłaszcza szczególnie czyste wykonanie flageoletów na strunie G., które tem trudniejsze były do oddania, że instrument jego dalekim jest od Cremońskich ideałów. Pomijając dalsze szczegóły, z uznaniem zaznaczamy, że p. W, odegrał ten utwór z wielkim ogniem, i chętnie to podnosimy, że zadziwił nas swym temperamentem, któregośmy z pierwszych występów nie mogli w jego grze dostrzedz.

Jako N. 4. odśpiewała p. A. bardzo ładnie „Sabaudkę“, Troschl'a i Chopin'a mazurkę „Śliczny chłopiec“ poczem orkiestra Towarzystwa zakończyła pięknem wykonaniem Sarabandy Gounod'a i Tańca Piratów Rebera. W tym ostatnim utworze flety i piccola troszkę się w końcowym ustępie pokłóciły, co jednak krótko trwało i bardzo nie raziło. Obie te kompozycje, łatwe do zrozumienia, podobały się ogólnie i przyczyniły się nie mało do miłego wrażenia całego koncertu.

Zaciekawieni oryginalnym programem pospieszyliśmy na pierwszy wieczorek Towarzystwa muzycznego we środę dnia 7. marca, a spieszyliśmy rzeczywiście, by stanąć na miejscu punktualnie o godzinie 7ej wieczór, gdyż programy wyraźnie zapowiedziały, że produkcja rozpoczną się „n a j n i e z a w o d n i e j z uderzeniem tej godziny, że nawet z rozpoczęciem każdego utworu wstęp do sali będzie „wstrzymany“. Cóż za frazeologja! Chyba kpiny czy żarty z publiczności? Nietylko, że rozpoczęto o 18 minut później, lecz i po rozpoczęciu kilka osób wcale nie „wstrzymanych“ weszło do sali i najswobodniej ulokowało się przy towarzyszeniu muzyki na swoich miejscach. Radzilibyśmy temu, do kogo to należy, albo wykreślić z afiszów te oryginalne zastrzeżenia, albo. co słuszniej,szanować samemu własne słowa i dawać przykład punktualności a wtenczas i ogłoszenia tego rodzaju będą zbyteczne, bo publiczność wiedząc, że na nią nie zaczekają i że straci jakiś piękny ustęp lub numer koncertu przybędzie zawczasu. Ale dość o tem. Mieliśmy na tym wieczorku więcej jeszcze rozczarowań i zawodów. Rozpoczęto sonatą fortepianową Onslowa (e-mol) na cztery ręce, odegraną przez pnę Zł. i dyr. Mikulego. Wykonana wzorowo z subtelnem i rozumnem cieniowaniem podobała się bardzo. W numerze drugim dał się słyszeć p. F.,

uczeń prof. Gerbicza i nader miłe zrobił wrażenie swym pełnym i bardzo dźwięcznym głosem barytonowym. Odśpiewał wcale pięknie i z wielkiem ciepłem ładną piosnkę Radwana „Kruk“. O drugiej, (Recitatiw i Romans z Halki) tego powiedzieć nie możemy. Dziwimy się, a nawet powątpiewalibyśmy o zdolnościach pedagogicznych p. Gerbicza, (gdyby z jednego wypadku sąd o tem wydawać można) że pozwolił swemu uczniowi, w pierwszym zaraz występie śpiewać rzecz tak forsowną, i tak rujnującą głos, jak wiele kompozycyj Moniuszki i szczególnie powyższy ustęp z Halki. Radzimy p. F., by więcej oszczędzał i racjonalniej używał pięknego głosu, swego byłaby bowiem nieoceniona szkoda zmarnować taki dar Boży.

Główną siłą przyciągającą na ten wieczorek był zapowiedziany kwintet fortepianowy Sgambattiego, kompozytora u nas nieznanego i dotychczas nie słyszanego publicznie. Jakiż zawód spotkał tych, którzy się spodziewali po uczniu Liszta i gorącym Włochu utworu namiętnego, do duszy przemawiającego, tem bardziej, że użycie całego kwintetu, każe wnioskować, iż treść potrzebuje ram tak wielkich, iż nie dałaby się zmieścić w mniejszej formie. Słuchaliśmy z całem wytężeniem i niestety nic a nic nie znaleźliśmy pięknego ani w całości ani w pojedynczych ustępach. Nie ma tam ani jednej myśli jasnej, ani jednego ustępu, któryby wyraźnie mówił czego pragnie, co czuje, co chce powiedzieć kompozytor. Rytmy dziwaczne, enharmoniczne zmiany bezustanne a wszystko bez celu, bez jakiejś przewodniej myśli — gmatwanina nieskończona. Niektóre ustępy — może z partytury czytane — są dla muzyka, że tak powiemy, „frapujące“, ale słuchaczów chyba interesują jak zagadka z ukrytą myślą lub bez niej. Po wysłuchaniu całego utworu mieliśmy tylko uczucie niesłychanego znużenia i zupełnego niesmaku. Prawdziwie szkoda tak dobrego odegrania jakiem się odznaczyli wczorajsi wykonawcy pna Ob, a zwłaszcza p. Kozłowski (Altówka), który przypomniał sobie dawne czasy i grał z t o n e m, którego by mu nie jeden wiolista pozazdrościł.— Rzeczy tego rodzaju jednak, jak ten kwintet można próbować w prywatnych salonach, dla poznania nowego kompozytora, dla odmiany, dla zaostrzenia smaku, by potem z tem większym gustem powrócić do Schumana lub Mendelssohna, ale karmić niemi publiczność, która jeszcze nie straciła bynajmniej apetytu na arcydzieła klasyczne lub wielkich romantyków — to nie stósowne. Dziękujemy za takie nowości!

Może rozstrojeni i zmęczeni tym utworem nie byliśmy dobrze usposobieni, ażeby osądzić piękność „Obrazów roku“ Gade'go, ale przyznać musimy, że i ta kompozycja nie zachwyciła nas bardzo, i nie zdołała zatrzeć (mimo, że z wyjątkiem głosu altowego w terccie dobrze była wykonaną) złego wrażenia, z którem też opuściliśmy salę.

L.

ZIARNKA.

Z nowości teatralnych ujrzeliśmy ubiegłego tygodnia dramat Oktawiusza Feuilleta „Romans paryski“. Tym razem Feuillet nas zawiódł. Ani pod względem charakterystyki, ani techniki scenicznej „Romans paryski“ nie wytrzymuje porównania z dawniejszymi utworami utalentowanego pisarza, z „Dwoma światami“, lub „Miłością ubogiego młodzieńca“. Fabuła sztuki jest słaba — rozłazi się — a epizody wypełniają prawie całą połowę pięcioaktowej sztuki. „Romans paryski“ przedstawiony był na benefis prawdziwej ozdoby naszej sceny, pani Anieli Aszpergerowej. Publiczność zgotowała beneficjantce gorącą owację, na jaką zasłużyła sobie pierwszorzędnym talentem, i długoletnią a sumienną pracą. Drugim ważnym „wypadkiem dnia“ w świecie artystycznym był odczyt p. Strakosza, słynnego niemieckiego recytatora, który wygłosił „Urjela Akostę“. P. Strakosz w zawodzie deklamatorskim mało ma sobie równych, wnika głęboko w ducha autora, szczęśliwie jego myśli interpeluje, a bogatą modulacją głosu wydobywa kolosalne efekta. Jeżeli zważymy, że znakomity recytator nie posługuje się mimiką, ani tem wszystkiem, co uplastycznia rzecz na scenie — a mimo to wywołuje wrażenie niezwykłe — to musimy przyznać mu prawdziwą artystyczną potęgę. P. Strakosz we wtorek odczyta „Zbójców“ Szyllera — po raz pierwszy, a w sobotę da się słyszeć w „Hamlecie“.

* * *

Ubiegły tydzień odznaczał się obfitością zabaw umysłowych. Oprócz produkcyj wyżej wymienionych i koncertu, o którym mówimy na innem miejscu, mieliśmy wieczór muzykalny na dochód żydowskiego stowarzyszenia robotników „Jad Charuzim“, i przedstawienie amatorskie w Kasynie miejskiem. Wieczorek udał się wcale dobrze, a szczególną uwagę zwróciła na siebie gra młodziutkiej pianistki, panny P., uczennicy utalentowanego nauczyciela fortepianu p. Br. Rakowieckiego. Przedstawienie amatorskie składało się z jednoaktowej komedyjki tłumaczonej z francuskiego i operetki Adama „Lalka norymbergska“. Gra amatorów była wyborna, a w operetce śpiewy szły tak wiernie i artystycznie były wykonane, jakby w przedstawieniu brali udział nie dyletanci, ale artyści skończeni. Rzadko przychodzi nam wydać sąd tak bezwzględnie pochlebny, dlatego też zdanie nasze, które jest zarazem zdaniem ogółu, z przyjemnością podkreślamy. Na zakończenie musimy zanotować pewien objaw charakterystyczny a pocieszający. Oto w sobotę równocześnie był benefis pp. Skalskich („Palestrant“, Millöckera, odczyt p. Strakosza, wieczorek na dochód towarzystwa „Jad Charuzim“, wreszcie przedstawienie amatorskie w Kasynie — i wszędzie było pełno. Lwów zaczyna się przynajmniej w tym kierunku ruszać nie na żarty!!

* * *

Przyszły tydzień jest ostatnim w dyrekcji p. Miłaszewskiego. Laurów ustępujący dyrektor nie zebrał przez czas dwuletniej swej działalności, ale jak zapewniają ludzie dobrze poinformowani, odchodzi z dobrze naładowaną kiesą. Jest więc czem pocieszyć się po utracie dyrekcji, i będzie za co wieść w Krakowie spokojny żywot *procul negotiis*. Nowa dyrekcja krząta się żywo. Z obecnego personalu ustępuje p. Hierowski i panna Knapczyńska (p. Webersfeld już pierwej ustąpił), natomiast powracają na naszą scenę pp. Zboiński, Fiszer i prawdopodobnie Podwyszyński, a z nowych przybywają pp. Wojdałowicz, Żelazowski, Feliksiewicz, Szymanowski, Barski, i panie: Stachowiczówna i Kasprowiczowa. Widzimy, że nabytek znacznie pokrywa ubytek. Pierwsze przedstawienie za nowej dyrekcji odbędzie się w poniedziałek wielkanocny. Podobno daną będzie *„Balladyna“* w której rolę Kostryna odegra p. Żelazowski, Grabca p. Wojdałowicz. Oprócz tego zajdą jeszcze inne, drobniejsze zmiany w obsadzie.

* * *

Pisma tutejsze z oburzeniem wspomniały o ogłoszeniu pewnego kupca, który umieścił na niem herb polski, i w imieniu ojczyzny wzywa publiczność, aby kupując u niego towary, budowała Polskę w ten sposób. Bezwarunkowo pomysł to głupi i niestosowny, ale niech nasze dzienniki uderzą się w piersi i zapytają się, czy one nie są winne temu dziwnemu objawowi? Tak jest — one to przy lada sposobności nadużywając patrjotycznych haseł, przy la-

da osobistej drobnostkowej sprawie wsiadając na wielkiego konia, przyzwyczaiły publiczność do tego, że teraz już w imię ojczyzny każą kupować ocet, lub czernidło do butów.

* * *

Ojcowie jezuici zawsze są pomysłowi. Ot teraz w czasie wielkopostnym urządzają osobne rekolekcje dla kobiet, a osobne dla mężczyzn. Czy tak mało dowierzają cnocie swych owieczek, że obawiają się wpuścić do kościoła razem kobiety z mężczyznami? Czy inną głoszą moralność mężczyznom, a inną kobietom? Wartoby to przecież zbadać... My tyle tylko wiemy, że Chrystus, kiedy kazał na puszczy do rzeszy, takich różnic płci nie robił, a w każdym razie głosił rozumniejsze i uczciwsze rzeczy, niż te, na co ichmoście w czarnych rewerendach zdobyć się mogą...

* * *

Dnia 10. i 11. b. m. odbyło się w sali kasyna mieszczańskiego przedstawienie amatorskie w połączeniu z operetką. Ta ostatnia pod kierownictwem znanego zaszczytnie nauczyciela spiewu p. Walerego Wysockiego. Sala kasyna na obu przedstawieniach była przepełnioną a publiczność doskonale się ubawiła lekką i swobodna grą amatorów w komedyjce jednoaktowej E. Labich'a p. t. „Moja córeczka", którą poprzedziła odegrana przez tutejszą muzykę 9 pułku uwertura Webera p. t. Oberon. Jako trzeci numer przedstawiono „Lalkę norymbergską" operetkę komiczną w 1 akcie A. Adama. Występujący w niej amatorowie spiewali czysto poprawnie i ze zrozumieniem, a przy tem grą swobodną i pełną werwy zasłużyli niewątpliwie na wszelkie uznanie, które też zamanifestowała publiczność w często się powtarzających a przeciągłych oklaskach. Szczególniej wypada podnieść spiew i grę nader sympatycznej p. List. Czystością intonacji sumiennością wykonania swej partji zwróciła powszechną uwagę tem więcej, że gra jej mogła zadowolnić wszelkie wymagania najwybredniejszych krytyków.

Tak świetny wynik przedstawienia tej operetki nalezy przypisać także i to przedewszystkiem jej artystycznemu kierownikowi p. Waleremu Wysockiemu, który z właściwą sobie niezmordowaną pracą i poświęceniem podjął się wyuczenia wszystkich śpiewających w tej operetce. Biorący udział w operetce panowie są o ile nam wiadomo wszyscy uczniami p. Wysockiego. Tacy uczniowie przynoszą zaszczyt ich maestrowi.

* * *

Nakładem. Redaktora „Przeglądu literackiego" i zarazem właściciela księgarni w Krakowie wyszły niedawno dzieła Ignacego Krasickiego w 3 tomach, Jana Kochanowskiego w 4 tomach i Juliusza Słowackiego w 5 tomach. Wydanie to obejmujące wszystkie dzieła wymienionych poetów jest poprawne i staranne co przedewszystkiem nadzwyczaj tanie a więc przystępne do nabycia dla każdego, który pragnie wzbogacić swą bibliotekę naszymi klasykami. Należy poczytać za zasługę p. wydawcy że zadowalniając się najskromniejszym zyskiem dał sposobność także i najuboższym zaopatrzyć się w tak cenne dzieła.

ZAPISKI.

Literatura.

* W Krakowie nakładem autora, a drukiem Anczyca, wyszła rozprawa p. St. Skrzyńskiego pod tyt. „Andrzej Zamojski i jego program polityczny," małe 8-vo, str. 55. Autor korzystał z dotychczasowych prac o Zamojskim i z korespondencji prywatnej; w pozedmowie zapowiada obszerną monografię.

* „Obrazki Syberyjskie" Ludwika Niemojewskiego, wyjdą w krótce w Londynie w przekładzie angielskim pani Hasslet, nakładem znanej firmy angielskiej „Hurst and Blackett-Great Malborough Street."

* Michał Czajkowski (Sadyk basza) niegdyś należący do naszej literatury, rozpoczął w czasopiśmie rosyjskiem „Ruś" druk ciekawego opowiadania p. t. „Sułtan Abdul-Azis i prawda o jego śmierci." Opowiadanie to jest bardzo żywe i bardzo zajmujące.

* „Revue Britannique" w zeszycie styczniowym zamieszcza biografię p. Modrzejewskiej, pióra A. de Vignerie, która jak wszystkie dotąd, zawiera szczegóły czerpane z bujnej imaginacji autora, lub ze źrudeł niewłaściwych. Autor objawia życzenie aby Modrzejewska wystąpiła przed publicznością paryską.

* Najdawniejsze zabytki starogruzińskiej literatury, jak donosi gazeta „Kaukaz" mają być zebrane, staraniem gruzińskich literatów w Tyflisie. Pierwsza serja zbioru, mającego nosić tytuł „Klasycy Gruzińscy," rozpocznie się wydawnictwem poematu: „Królowa Tamara i Dawid jej mąż,"utworu poety Czachruchadze z XII w.; w II-ej serji mają wyjść poezje ludowego piewcy z XI w.; Dzagnakoreli.

* Wychodzi obecnie w Niemczech dykcjonarz somnambulizmu. Dotąd ukazały się dwie głoski. Czytamy tam pomiędzy innemi życiorys Berwińskiej, polki, która w r. 1792 w Wejmarze była, jako rzadkiej natury lunatyczka, przedmiotem badań lekarskich.

Teatr i muzyka.

* Pani Sembrich-Kochańska występować będzie w krótce w operze wiedeńskiej, gdzie ma śpiewać po włosku i artystce naszej miano ofiarować 3000 złr. za występ, sumę jakiej dotąd niebrała żadna śpiewaczka.

* W Monachium przygotowuje intendantura teatru przedstawienie dramatu historycznego, pozost ałego po humoryście Marcinie Schleichu. Treść i główna figura dramatu i nas powinna zainteresować; tytuł jej brzmi: „Wit Stwosz".

* W Paryżu przedstawiono nową operę Saint Saënsa „Henryk VIII". Librecista krzyształ z z treści dramatu Shakespeara. Opera podobała się dla orkiestralnych efektów i świetnej harmonizacji. Pod względem melodji opera Saint Saënsa ma być uboga i wcale nieoryginalna.

* Przedstawienia „Parsivala" Wagnera mają się wkrótce rozpocząć w Bayreucie. Król pragnie je przyspieszyć tem więcej, że w papierach Wagnera znalazła się notatka, iż zmarłych artystów najbardziej się czci przez przedstawienia ich utworów.

* Straus kończy nową operetkę pt. „Guwernantka" do libretta Fr. Schöntana,. Może znowu raz doczekamy się po sławnych libretach Mailhaca i Halevy do kompozycyj Offenbachowskich, operetki... z sensem.

* W operze paryskiej przedstawiona będzie 5 bm nowa opera „Henryk VIII".

* L'opera comique przygotowuje operetkę Delibésa p. t. „Lacaine".

* „Teatre française" wznawia obecnie znakomitą komedję Augiera pt. „Bezczelni".

* Pani Wolter wyjechała na gościnne występy do Pragi.

* Profesor Joachim popisuje się w koncertach w Londynie.

* W Paryżu istnieje obecnie, nie licząc café-concertów itp. 48 teatrów. Najwięcej miejsc (3500) posiada Chatelet, gdzie dawano ongi wszystkie czarodziejstwa, dalej idzie Theatre des Nations (2500) i W. Opera (2100), Chateau d' Eau (2000), Ambigu (1900), Gaité i i Porte St. Martin (1800) opera ko-

miczna (1500), Odeon (1467) i Comedie Française (1380). Największy personal artystyczny i techyniczn posiada opera wielka, ma ona 95 muzykuntów, 20 śpiewaków, 18 śpiewaczek, 7 tancerzów, 52 baletniczek, 100 chórzystów i figurantów, 87 „sujets“ do baletu, 155 maszynistów itp.

Sztuki piękne.

* Obraz Michała Anioła, przedstawiający w małym formacie Przenajświętszą Rodzinę, nabył panujący książę Lichtenstein do swoich zbiorów od niejakiego pana Maurice Maore, w którego posiadaniu to arcydzieło znajdowało się od dawna. Komisja rzeczoznawców w Rzymie oceniła ten obraz na 250.000 lirów.

* W Monachium zmarł 12 zm malarz Edward Joung ur. 1823 w Pradze. Joung bawił czas długi w Danii, a od lat kilku mieszkał w Monachium, gdzie oddał się prawie wyłącznie obrazom rodzajowym. Najwięcej znanym obrazem jego jest „Der Preisstier“.

* Juliusz Allgeyer i K. Bolhoevener wynaleźli nowy sposób robienia ilustracyj, który nazwali typograficznym fotodrukiem, a który ma rozwiązywać najtrudniejszy problement na polu reprodukcji fotograficzoej, mianowicie zużytkowanie w tym celu maszyny drukarskiej. Rzecz cała opiera się na czułości żelatyny, w połączeniu z solami chronowemi na światło.

Miscelanea.

Warjat, którego utwor nagrodziła akademia francuska, jest niezawodnie rzadkiem zjawiskiem, a jest nim Filip August h. Villiers d'Isle-Adam, jakkolwiek dodać należy, że jest on warjatem raczej dla oryginalności, aniżeli z powodu choroby umysłowej. Jego „Nowy świat“ zyskał mu nagrodę akademii, a inne dzieła cieszą się mniejszem lub większem powodzeniem. Sam o sobie opowiada rzeczy niebywałe, lub nawet robi coś takiego, co istotnie na myśl przywodzi warjactwo. I tak np. zgodził się raz za służącego przy pewnem przedsiębiorstwie pogrzebowem, a gdy go spytano, co go do tego skłoniło, odpowiedział, iż zbyt wesołe poprzednie życie, za które chcąc odpokutować, nosi obecnie trumny dla nieboszczyków. Wkrótce porzucił to zajęcie i służył jako „model“ w pewnym zakładzie dla obłąkanych, to znaczy, że przy swej szczególniejszej powierzchowności udawał wyleczonego warjata, a gdy przywożono jakiego nowego chorego, to rodzinie przedstawiano hrabiego Villiers mówiąc, że i ten pan był kompletnym warjatem, ale dzięki naszej metodzie leczenia i łagodnemu obchodzeniu się, stan jego polepszył się znacznie, i jest wszelka nadzieja, że kiedyś niezawodnie . . . . etc. etc Zajęcie to przynosiło mu miesięcznie 200 franków. Znów innym razem podobało mu się mieszkać w jakimś przez wszystkich opuszczonym szynku, gdzie tylko piwo sprzedawano, i tu przyjmował swych przyjaciół, zwolenników i nakładców. Oczywiście piwiarnia w Paryżu nie mogła się cieszyć zbytnem wzięciem, więc też nie raz całemi dniami stała pusta, wówczas gospodarz i kelner wychodzili na przechadzkę, a Villiersa prosili, by tymczasem pilnował szynku, gdy zaś przypadkowo trafił się wówczas jaki gość, to go odsyłał do naprzeciw będącej winiarni. W „Odeonie“ nieprzyjęto mu sztuki a natomiast grano ją w „Theatre des nations“. Villiers chcąc się zemścić, wsiadał codziennie do tramwaju idącego do Odeonu i z wagonu wołał na cały głos niby to do znajomego na ulicy, że jedzie do Odeonu czytać nową sztukę. Przez pół roku bawiło go to. Przy tem wszystkiem był i muzykalny, a nawet dorabiał muzykę do własnych sztuk, jeśli potrzebną była.

Oczywiście przyjaciół nie ma, i to z własnej winy, sposób bowiem, w jaki się ze znajomymi obchodzi, nie może mu zyskać sympatji. I tak np jednego dnia jest dla kogoś nadzwyczaj serdecznym, zwierza się ze wszystkiem, opowiada najskrytsze tajemnice, a na drugi dzień wcale nie zna tego człowieka, nie wita się, gdy go na ulicy spotka. Może i to robi dla oryginalności, a w takiem razie nim się postarzeje — ma bowiem obecnie 42 lat — doprowadzi rzecz swoją do doskonałości. U nas na Rusi jest przysłowie, dające się w tym wypadku wybornie zastosować: Dobre duryty, koły prystupaje

Alfons Daudet i Emil Zola. Z wydanego studium M. G. Conrad'a o życiu prywatnem koryfeuszów współczesnej literatury francuskiej, podajemy wyjątek o tych dwóch wybitnych pisarzach nowszej szkoły.

Daudet i Zola zarówno lubią spokojne, ciche domowe pożycie, unikają wielkiego świata, i tylko w szczupłem kółku znajomych lubią pozostawać. Daudet używał nawet dawniej oryginalnego, własnego pomysłu ubioru, aby nie wyglądać, jak tuzinkowy dandy paryski. Czas go dopiero uleczył z tego dziwactwa.

Przestał już nosić pasterski kapelusz, aksamitną marynarkę, przystrzygł spadające na ramiona kędziory, i nie widać już u niego ząbkowanych mankietów. Na przemianie tej nie straciła wcale jego zawsze ujmująca powierzchowność.

Mizantrop Zola, dla którego praca stanowi największą rozkosz życia, tylko przez zimę przebywa w Paryżu, przez całe zaś lato zagrzebuje się w odalonej wiosce w pobliżu Médan. gdzie za sąsiadów ma tylko chłopów, i gdzie z trudnością przyszłoby go odszukać Paryżaninowi. Dom, w którym mieszka, oddalony jest o 5 kilometrów od najbliższej ludzkiej siedziby — i składa się z czworokątnego wieżycą zdobnego budynku, u którego stóp przykucznął maleńki domeczek. Po przed nim rozciąga się ogród warzywny oddzielony od przerzynającej wieś drogi Wschodniej kolei żelaznej, wysokim żywym płotem. W wieży urządził dla siebie pracownię na sposób atelier malarskiego. Światło dostaje się przez jedno ogromne okno, które obejmuje całą ścianę od strony północnej. Widok rozciąga się na ogromną płaszczyznę, ogołoconą zupełnie z zarośli. Podobnie jak w malarskiej pracowni, mnóstwo tu rozmaitych staroświeckich mebli, obić, średniowiecznych zbroi, broni i tym podobnych przedmiotów. Ogromny artystycznie ozdobiony komin, w którym możnaby zmieścić całą furę drzewa — uzupełnia umeblowanie sanctuarium naszego antiromantyka. W małym domku mieści się pozaliterackie mieszkanie Zoli, jego żony i służącej. Temperament Zoli robi go nieprzystępnym. W wyborze towarzystwa jest nadzwyczaj trudnym. Jego bezwzględność, otwartość w wypowiadaniu poglądów w najdrażliwszych literackich, artystycznych i politycznych sprawach, będących porządna [illegible] — poróżniła go z niebem i ze światem. Daudet, Turgieniew, wydawca jego dzieł Charpentier i jeszcze może trzy lub cztery osoby — oto cało grono nieco zbliżone do tego hipochondryka, wprawdzie szczęśliwego w pożyciu małżeńskiem, ale bezdzietnego. W zimie zaprowadził w kółku swych przyjaciół niedzielne obiady, w celu gromadzenia się razem. Obiady te odbywają się kolejno. Czasami bywają na nich i dalsi znajomi. Pewnego dnia zgromadzono się u Charpientera. Całe towarzystwo było w wybornym humorze. Szczególniej po czarnej kawie bawiono się doskonale, opowiadano anegdotki, wesołe nowinki, komiczne wypadeczki. Pomału rozmowa zeszła na poważniejsze tory, i dowcipy, anegdotki i kalambury zamieniono na rozprawy o najnowszych objawach naturalistycznej literatury.

— Musimy wysłuchać zdania Zoli, wszak to nieomylny sędzia! — odezwał się jeden z towarzyszy.

Dopiero teraz zauważano jego zniknięcie.

— Zola! Zola! zaczęto wołać na wszystkie strony..

Żadnej odpowiedzi.

Przeszukano wszystkie kąty — salon — pokoje — dopiero w najodleglejszym pokoju znaleziono ona fotelu z głową wtuloną w poduszki, chrapiącego w najlepsze.

Zola lubi jeść dużo i dobrze, ale nie pije, nie pali, nie nawidzi wesołych hulaszczych zabaw — a mimo to ileż u niego dowcipu, jaka bujna fantazja!

Treść.

Zasada powagi.
Estwoyn J.: Illegitimi thori (c. d.)
Z poezji W. Z. Kościałkowskiej.
Mazanowski A. : Balladomania. (dok.)
A. S. : Lepiej późno niż nigdy.
Przegląd literacki.
Przegląd muzyczny.
Ziarnka.
Zapiski artystyczne, literackie i naukowe.
Miscelanea.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ pod zarządem Leona Zubalewicza.